





# CZARNY RYCERZ

Opowiadanie historyczne z XI wieku

16) przez  
WALEREGO PRZYBOROWSKIEGO

— Hm! zawołał Leszek z oburzeniem — a cóż to, nie wiesz, czy co! Mnie wszystkie króle znają i grałem z nimi w kości nieraz i wino pilem...

Ale co wy tam chłopcy wiecie? wam się widać, że w Krakowie, to jak w Zembocinie. Król mnie lepiej zna, jak raz przyszedł do mnie, to mnie trącił w ramię i gada: Leszku, a miej tam oko na wszystko, bo Mikołaj jest gorący i gotów się porwać na tysiące. A żem sobie wtedy przypopreżał konia, król widząc, że się męczę, rzecze: czekaj dopomogę ci! Taki to jest ten król. O! to mój wielki przyjaciel i żebym tylko chciał, toby mi dał zaraz jakie wielkie dziedzictwo i wojewodą by mnie zrobił. Ale ja nie chcę, po co mi to! albo mi tu źle, czy co?

Słuchacze kiwali głowami i dziwili się wielce, a niektórzy z ogromnem uszanowaniem zaczęli spoglądać na Leszka, on zaś pusząc się jak paw, opowiadał dalej:

— Jedziemy tedy na ową wyprawę, jedziemy, jedziemy, a tu żywej nigdzie duszy, tylko błonia i błonia porośnięte taką trawą, jak u nas dęby w lesie...

Strach powiadam wam, co to za osobliwszy kraj te Węgry. A po błoniach tych, to tylko smoki chodzą...

— Smoki?

— A smoki. Najlepsze to w nich są ogony i oczy...

— Jadłeś Leszku smoczy ogon?

— A jakże, doskonale jedzenie... ho! ho! czego ja nie jadłem. Jedziemy, jedziemy, a tu nocka zapadła i nie miałem widać. Mówię ja do dziedzica: stańmy tu i przemocujmy, a on mi powiada: głupis! tu będzie wieś niedaleko. Ha! myślę sobie wieś to i dobrze, bo mię kości bolały i głodny też byłem. Jedziemy, jedziemy... a już w dali światelko błysnęło, małeńkie światelko. A widzisz! mówi dziedzic. odpoczniemy sobie i jutro świtanem wyruszmy dalej. Jedziemy co robiący, a tu konie prychają i strzygą uszama. Oj źle, myślę sobie, a może tu będzie smok, albo zwierz jakiś okrutny. A w tem miły Boże! kiedy to się nie rozlegnie wrzask straszny, strzały świszczą, miecze błyszczą, sądny dzień. Przyskoczę do dziedzica, a jego już jakiś Węgrzyn na stryczek schwytał, z konia ściągnął i wleczę po trawie. Jadę więc za nimi, a na płacz mi się zbiera i serce mi się ścisza. Przyjechaliśmy do zamku wielkiego na wyspie i dziedzic tego zamku, co się zwał Giejza wyszedł nas oglądać. Rzknę tedy do niego: godziż to się takiego rycerza, jak mój dziedzic, na stryczku niby psa ciągnąć? A on mię buch w pysk...

— Jak to? ciebie Leszku?

— Mnie mnie! Któż ci to powiada, że mnie? Mnie się strasznie Węgry bały! Ho! ho! ze mną nie żarty. Jakem ja raz krzyknął, to dziesięciu Węgrów na ziemię padło, niby gromem rażeni. A zresztą co wy tam wiecie chłopcy. Wy się nie znacie na rycerskiem rzemio-

śle i na wojence. Jaśku! obrócił się Leszek do młodego chłopca, który stał z roztworzonymi szeroko ustami i słuchał, — Jaśku, idź no zobacz co oni tam gotują na wieczerzę czy przędko będzie... bo mnie coś koło serca ścisza, a to jest pewno z głodu.

IX.

## Przepowiednia Jędzy.

Rok blisko upłynął od turnieju w Krakowie i od powrotu pana Zembocińskiego do swego dziedzictwa. Przez ten czas Leszek odpoczął sobie tak dobrze, że wyglądał jak beczka, a oczy z pośrodku tłustych i czerwonych policzków ledwie mu widać było.

— Nie mogę powiedzieć, mówił niekiedy, żeby tu w Zembocinie źle było. Nie, tego nie mogę powiedzieć, bo bym zgrzeszył, ale...

— Ale co? pytano go się.

— Ale... mogłoby być lepiej. Dają jeno trzy razy na dzień jeść. Pytam się każdego, dlaczego nie sześ, a choćby już tylko pięć razy? W domach wojewodzińskich i królewskich, jak np. w Krakowie, to dawali najprzód śniadanie, potem przedobiadek, potem obiad, potem po obiedzie. Po południu to dawali podwieczorek, a w końcu dopiero wieczerzę. I tego było sześć razy. Człek się miał niezgorzej i jeno pasa popuszczał, a tu choć jest dobrze, ani słowa, ale nigdy jeszcze pasa nie popuszczalem.

Miało się jednak skończyć już dla Leszka to próznowanie i używanie. Ledwie bowiem ciepło wiosenne się ukazało i śniegi topnieć zaczęły, bociany i jaskółki ściągać, gdy przyszły wici królewskie, zwołujące rycerstwo na wyprawę do Kijowa.

— Leszku, rzecze Mikołaj opatrz konie i zbroję. Za trzy dni wyruszmy do Krakowa, a potem gdzie król każe.

Oczywiście Leszkowi się to bardzo nie podobowało. Podrapał się po bujnej czuprynie, westchnął ciężko i idąc do stajni mrucał:

— Bodaj to wciurności perwali! czy nam tu źle, czy co w Zembocinie, byśmy znowu szli guza szukać po świecie? Żebym ja był królem i siedział sobie na takim zamku, jak ten co jest na Wawelu i miał takie przednie jedzenie, takie wina, miody i takie szaty, to po kiego licha miałbym wojny prowadzić? Poszaleli ludzie oczywiście poszaleli. Oho! mój Leszku, przepadły twoje dobre czasy! nie będziesz już teraz wylegiwał się za piecem i jadał kaszy z makiem, klusek z miodem i makiem, combrów baranich i pieczonej świniny. Wszystko przepadło; nawet o piwo będzie ciężko, a cóż ta dopiero o winie gadać!

Tak narzekał Leszek, ale nie było rady. We dworze Zembocińskim zrobił się teraz ruch wielki, oczyszczano zbroje, ostrzono miecze, włócznie i topory, opatrywano i kuto konie, szyto proporce. Mikołaj oprócz giermka Leszka brał ze sobą dziesięciu pachotków w łuskowych zbrojach, trzeba ich więc było opatrzyć, jak należy we wszystko. Pani Małgorzata płakała i do męża mówiła:

— Obyś wrócił zdrow i jaknajprędzej, bo mam przeczucie, że się coś złego stanie.

— Cóż się może złego stać? Zginę, a no to coż robić. Gdzie drwa rąbią, tam wiory leżą — odpowiadał Mikołaj. Ale mnie się nie widzi, że-

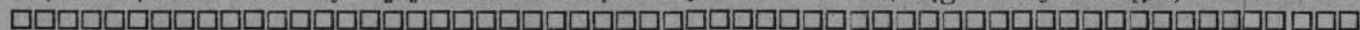
by w tej wojnie było jakie niebezpieczeństwo. Gadają ludzie, że to nie wojna, tylko przechadzka do Kijowa. Żali nie jedzie z nami prawowity książę kijowski Izaśław? Słyszę dwóch jego synów jest z nim, Świętopełk i Mściśław. Kijów nie będzie śmiał się upierać swemu panu.

Tak pocieszał Mikołaj swoją żonę i naglił, by przygotowania prędko kończono. Leszek chodził jak oswiały i powiadał, że ze zgryzoty musi pasa przykrócić.

— A cóż to, pytano go się boicie się Leszku?

Ja? wołał z oburzeniem ja miałbym się bać! Ale co wy tam wiecie głupie chłopy, nie wasz rozum na to. Obaczycie, że wrócę wojewodą. Król kiedyś się z nim widział ostatni raz w Krakowie, gadał miłkniejąc mi po ramieniu: „Leszku, niech na będzie wojna, zrobię cię rycerzem i wojewodą.“ My się bardzo kochamy z królem Bołkiem.

Ludzie śmiali się z tego serdecznie, a Leszek prostował się i puszył, jak paw. Powoli wszystko było gotowe. Dziesięciu pacholców zaopatrzonych należycie pomieszczono w stodole i nazajutrz świtanie miał z nimi Mikołaj wyruszyć do Krakowa. Wieczorem Leszek, który pomimo swych wad dbał bardzo o konie, wrcał ze stajni do swej izby, gdy na dziedzińcu zdybał się z jakąś niewiastą. Była ona ubrana w białą płócienną sukmanę, w łapcie lipowe, a na głowie miała modrą zapaskę z samodziąłu. Z pod zapaski widać było jej twarz chudą nos



### Rozmaitości.

#### **Dziwactwa milionera.**

Jeden z najbogatszych ludzi w Ameryce, Henry L. Doherty z Columbus, w stanie Ohio, spędza nocę swoje w sposób niezwykły.

Doherty nie posiada jednego pokoju sypialnego, lecz cały ich szereg, aby zaś nie przenosić się z jednego do drugiego, posiada łóżko na szynach z kunsztownym urządzeniem elektrycznym. Gdy położy się do tego łóżka, to wystarcza mu nacisnąć guzik elektryczny w ramie łóżka, aby przesunęło się lekko po szynach do pokoju „słonecznego“ obszernej sali, oświetlonej sztucznym słońcem górskim za pomocą lamp kwarcowych.

Tu dziwak poddaje się działaniu promieni ożywczych, poczem, nacisnąwszy inny guzik, przejeżdża do pokoju, chłodnego i zaciemnionego.

Na tem jednak nie kończy się jego wędrowka, lubi bowiem spać na świeżem powietrzu. Jeżeli zatem pogoda pozwala, naciska jeszcze jeden guzik. Otwierają się drzwi pokoju, łóżko wjeżdża do windy i wnet staje w ogrodzie, urządzonym na dachu domu. Tam wreszcie dziwak zasypia.

Doherty nie zna innych podróży. Będąc starym kawalerem, spędza samotnie dni w położonem tuż nad jego biurami szesnastopokojowym mieszkaniu, gdzie posiada wielki ogród zimowy, salę koncertową z salą bilardową.

Karjerę swą zaczął Doherty jako chłopiec do posyłek w towarzystwie gazowem miasta Columbus, a posuwając się coraz wyżej, stał się w końcu kierownikiem tego przedsiębiorstwa.

jastrzębi, oczy głęboko zapadłe i świecące jak dwa ogniki i mnóstwo skoltunowanych kosmyków siwych włosów. Leszek popatrzał na nią, zbliżył się bo zmrok zapadał i nagle odskakując zawoła:

— Przebóg, to Jędza!

— A Jędza synku, rzecze na to baba swym grubym, chrapliwym głosem Jędza! to widzę nie zapomniałeś o mnie, jakem cię nakarmiła ciałkiem uduszonego dziecięcia, a tyś myślał, że to prosię. Ha! Ha! Ha!

Śmiała się głośno, wzięła się pod boki i patrzyła na Leszka palącymi oczami, jakby go chciała niemi prześwidrować.

— Cóż, mówiła dalej, na wojenkę jedziesz z dzieżciem? he? będziecie wy mieli wojenkę? Mgły wielkie nocami się włóczą po polach, upiory po błoniach chodzą, wisielcy po puszczech jęczą, topielcy po rzekach się pluszczą. Będzie to wojenka! Pół nieba wczoraj krwią się zalało, ziemia rankami drżz bólu. Wilkołaki i boginki na bugajach płasy szpetne wyprawiają. Będzie to, będzie wojenka!

— Leszek żegnać się począł i strach go wielki zdjął.

— Jezus, Marya, Józef! szeptał — zmiłuj się nad nani!

A Jędza nagle obróciła się ku dworowi i wyciągając tam chudą rękę, która odbijała się wyraziście na jasnym pasie nieba na zachodzie, półszepem mówiła:

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dziś jest pozatem prezesem rad zarządzających kilku towarzystw kolejowych.

#### **Prezydent Ameryki na drewnianym koniku.**

Dziennikarze amerykańscy mają nowe źródło dowcipów. Dostarcza im tematu drewniany koń prezydenta Coolidge'a.

Prezydent Stanów Zjednoczonych jest gorącym zwolennikiem sportu. Ale troski rządzenia zajmują mu zbyt wiele czasu i nie pozwalają na ulubione ćwiczenia na świeżem powietrzu.

Cóż tedy robi prezydent? Oto lazał sobie wystrugać drewnianego konia, opatrzonego sprytnym mechanizmem, dzięki któremu drewniany rumak może chodzić stępą, klusem i nawet puścić się galopem oczywiście tylko w miejscu. Niemniej jeździec cieszy się podobnymi wrażeniami, jakoby na końskim grzbiecie przebiegał szerokie stępy.

#### **Wyspa pochłonięta przez morze.**

Mała wyspa Port Aleksander, należąca do portugalskiej kolonii Angola w Afryce Zachodniej, zniknęła z powierzchni wody.

Pierwszy wiadomość tę załomunikował światu parowiec „Menil“, na którego pokładzie znajdował się geograf niemiecki Weiss. Z rozmowy z mieszkańcami wysp sąsiednich uczony wyniósł zdanie, iż wyspa prawdopodobnie z powodu wybuchu została pochłonięta przez morze w ciągu kilku minut.

Szczegóły tego przewrotu w przyrodzie nie są jeszcze stwierdzone; są jednak bawy, że nie obeszło się bez strat w ludziach. Wyspa miała 4 tys. jardów (miara angielska, równa 3 stopom) kwadratowych obszaru i była zanieszkana.